

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE

Powieść z dni ostatnich.

44 Wzięła próżną szklanę i nachylając się do ucha Walczakowej szepnęła:

— Mleko gorące pije i nie mówi nic!.. Wie pani, ja się boję, czy jej się aby jaka klepka nie obruszyła w głowie..

Anielka wzruszyła ramionami. Ta stara panna ze swymi dziwactwami zaczynała ją trochę denerwować.

Panna Antonina szepnęła jeszcze:

— A możeby księdza poprosić? Niechby się wypowiedziała.

— Dobrze — odszepnęła Walczakowa — zapytamy o to, ale później dopiero. A teraz... możeby pani była tak dobrą zostawić nas na chwilę same.

Wargi panny Antoniny zacisnęły się ponuro.

— A pewnie... Pani prędzej z niej coś wydobędzie. U niej zawsze pierwsi byli obcy, a ciotka to ani za hętkę pętelkę.

Ręka, w której trzymała szklanę, zadrżała lekko.

— E! — rzuciła jeszcze panna Antonina i wyszła.

Anielka myliła się wszakże, sądząc, że Józia sam na sam okaże się skłonniejszą do zwierzeń i rozmowniejszą.

Chora bowiem leżała milczaco, wlepiając wzrok w przestrzeń, z jakimś zastraszającym osłupieniem. Nepodobna było odgadnąć, czy i jakie myśli przewijały się przez jej mózg.

Na zadawane pytania odpowiadała bardzo krótko, niechętnie, z widocznym przymusem.

Przyjaciółka, nie chcąc jej rozdrażniać dała spokój bezskutecznym wysiłkom zawiązania rozmowy.

Minął tydzień jeszcze. Lekarz zadowolony był na ogół ze stanu zdrowia Józii, niepokoiła go tylko trochę i dziwiła kompletna apatia pacjentki.

— Siły wracają, ciało wzmacnia się — rzekł pewnego razu do Walczakowej — ale tu jest jeszcze jakieś cierpienie moralne, wobec którego medycyna jest bezsilna.

Anielka smutnie pochyliła głowę. Ona sama nie wiedziała już, co myśleć i co robić, aby Józję wyrwać z tego stanu moralnego odrętwienia.

Raz tylko chora ożywiła się na chwilę, kiedy jej przyjaciółka pokazała fotografię swojej małej córki.

Oczy Józii błysnęły, uważnie przyjrzała się fotografii.

— Do kogo ona podobna? — rzuciła z zainteresowaniem. — Do ciebie, czy do pana Kazimierza? Z fotografii trudno poznać... Ale cudne dzidził...

— Trochę do mnie, trochę do Kazia; a najbardziej sama do siebie — odpowiedziała Walczakowa, z cudnym uśmiechem szczęśliwej matki. — Ciocia Krzysia zaś twierdzi, że jest najpodobniejsza do niej.

Józia przez chwilę jeszcze wpatrywała się w okrągłą buzię dziecka, poczem oddała fotografię.

Wzrok miała znowu tępy, przygasły.

— Józia... — rzekła — więc dałaś jej moje imię... Szkoda... To imię szczęścia nie przynosi.

Walczakowej szarpnęło się serce w piersi.

— Józiu!.. — krzyknęła i ścisnęła przezroczystą, wychudłą rękę przyjaciółki w swoich dłoniach — Józiu, powiedz...

Józia usunęła powoli rękę i opadła na poduszki.

— Nie chce mi się mówić... — powiedziała niechętnie.

Po chwili dorzuciła:

— Wiem, ty i ciocia Antosia jesteście bardzo dobre dla mnie... za dobre... Powinnabym być nie wiedzieć jak wdzięczna... Ale nie mogę... bo tak mi jest — położyła rękę na sercu — jakbym tutaj miała kawałek lodu...

Zamknęła oczy i umilkła. Nepodobna było potem przez kilka godzin wydobyć z niej choćby jednego słowa.

Pannie Antoninie działało to poprostu na nerwy. Kilkakrotnie próbowała wszczynać kłótnię z Józją, byle ją tylko rozruszać. Aż Walczakowa

musiała hamować tę nadmierną gorliwość popędliwej kobiety.

Obie kolejno czuwały przy chorej w nocy. Jednego dnia rano, w czasie nieobecności Walczakowej, posługaczka szpitalna p zyniosła pannie Korzewskiej bilet wizytowy, mówiąc:

— Ten pan czeka. Chciał tutaj iść wprost, ale powiedziałam, że tak nie można.

Józia nie zwróciła na te słowa żadnej uwagi, nie zapytała o nic.

Panna Antonina rzuciła okiem na bilet i poczerwieniała jak burak z gniewu. W wyblakłych jej oczach zamigotały groźne błyskawice.

Spojrzała na siostrzenicę, potem znowu na bilet, otworzyła już usta aby coś powiedzieć, ale zamknęła je bez dźwięku.

Przez chwilę namyślała się, mnąc i łamiąc bilet w palcach.

— Wróć zaraz — rzekła wreszcie głosem, zdradzającym wzburzenie. — Jakbyś potrzebowała czego, zadzwoni.

I szybko wyszła, zapomniawszy nawet zamknąć drzwi za sobą.

W poczekalni podniósł się na jej przywitanie blady, wzruszony, zdenerwowany... Konrad Żarnicki!

Był w cywilnem ubraniu i wyglądał bardzo mizernie. Czarne oczy błyszczały niepokojem.

Podbiegł ku pannie Korzewskiej i bez tchu prawie zawołał:

— Józia!.. Co z Józją?!

Szara panna nie odpowiedziała na jego ukłon i założywszy po Napoleońsku ręce, przypatrzyła mu się ze zjadliwym, pogardliwym szyderstwem.

— Na miłość Boską! Co z Józją!! — w głosie Żarnickiego zadźwięczało szalone zdenerwowanie. Widać było, że dygocze cały.

— Niechże pani mówi coś! Ja...

— Aha! Szanowny pan! dobrodziej raczył sobie rychło wczas przypomnieć, że ma żonę — wycedziła panna Antonina.

Mąż Józii nerwowo obracał kapelusz w rękę.

— Nie wiedziałem, co się z nią dzieje... Pisałem do Krakowa... Ale na Boga, gdzie ona?!

Czy... czy...

— Żyje i żyć będzie! — przerwała panna Antonina — ale to łaska Boska i pomoc dobrych ludzi, ale nie pańska zasługa!

Żarnicki odechylał głęboko i przesunął ręką po czole.

— Dziękuję pani za opiekę nad nią... — pochylił się do ręki starej panny, ale ta wyrwała mu ją gwałtownie.

— Dziękujesz pan? — krzyknęła. — Patrzcie go, jaki teraz czuły i troskliwy! A cóż to ona bliższa panu, niż mnie?!

Konrad chciał wtrącić coś, ale mu nie dała dojść do słowa.

Niby powinna być bliższa, bo pan masz święty obowiązek być jej opiekunem, aleś się tak o nią troszczył, jak pies o piątą nogę!

Żarnickiemu krew uderzyła do głowy.

— Pani!..

— Jak pies o piątą nogę, powtarzam!.. Gdzieś pan był dotychczas, co? — wrzasnęła

— Przy wojsku. Ja miałem ręce związane... Proszę pani, gdzie Józia?... Pani zechce poprowadzić mnie do mojej żony...

Ostatnie słowa wypowiedział prawie rozkazująco. Ton jego przypawił pannę Antoninę o formalny atak rozwścieklenia.

Pryskoczyła do męża siostrzenicy i przed samą jego twarzą, wymachując rękami, wołała:

— Pan tu będziesz jeszcze głos podnosił?!

Coście wy z niej zrobili?!

Zmarnowali, zgnębili, zniszczyli!

Dziewczyna była jak kwiat, jak róża, a teraz serce się kraje pęczec!..

— Chora... bardzo?!

— I jeszcze... jeszcze gorzej mogło być!..

A wszystko przez pańską głupotę i podłość pańskiej ma...

Żarnicki naprzemian to blady śmiertelnie, to krwisto czerwony nie pozwolił jej dokończyć.

— Pani! Wiem, że zawiniłem, ale w ten sposób o matce mojej...

— Matka pańska zbrodnię popełniła!.. Rozumiesz pan, zbrodnię!.. I pan także!.. Czegoś się pan czepiał tego biednego dziecka! Stałeś się jej nieszczęściem!..

Głos panny Antoniny rozbrzmiewał tak donośnie, że w uchylonych drzwiach jęły migać zaciekawione twarze służby szpitalnej.

Konrad spuścił głowę jak pod uderzeniem. Czuł się winnym, ale wrodzona mu popędliwość podszeptowała mu słowa gniewne i dumne.

Panna Antonina Korzewska nie była osobą, która umiałaby „roztrząsnąć“ człowiekowi sumienie, nie przebiegając przytem miary.

Nadmiarem taktu i delikatności nie grzeszyła nigdy.

To też scena stawiała się przykrą i mogła zakończyć się awanturą, gdyby do poczekalni nie weszła Walczakowa.

Była w kapeluszu, w futrzanym żakiecie, zaróżowiona od zimna i szybkiego chodu.

Na widok męża Józii, łagodnie jej zazwyczaj oczy nabrały surowego wyrazu, a jasna, pogodna twarz spochmurniała.

— A!.. Przyjechał pan...

Żarnicki złożył niski ukłon.

— Dostałem kilkumiesięczny urlop dla poratowania zdrowia. Dowiedziałem się... Przyjechałem natychmiast...

— Czy pan był w Łykowie? Widział się pan ze swoją matką?

— Nie.

— A dlaczego nie? — wpadła mu w mowę panna Antonina. — Byłby się pan przynajmniej pięknych rzeczy dowiedział!

Konrad, nie spoglądając na nią, zwrócony tylko do Walczakowej, mówił:

— Chciałem jak najprędzej... Od pół godziny czekam napróżno na widzenie się z żoną... Proszę więc...

— Czy nie uważa pan — przerwała mu ostrym tonem młoda kobieta — że należałoby wprerw zapytać jej czy życzy sobie widzieć się z panem...

Czarne oczy Konrada błysnęły hardo.

— Józia... Moja żona...

— Józia była bardzo chora. Pańska żona umierała z głodu, w nędzy i opuszczeniu! Nie zwróciła się o pomoc do nikogo, bo nie chciała żalić się, a nie chciała oskarżać pana ani pańskiej rodziny!..

Konrad zadrżał. Był w tej chwili tak blady, wyglądał na tak przybitego i zgnębionego, że Walczakowa umilkła, bo się jej go żal zrobiło.

— Więc to tak było!.. — powiedział jakby sam do siebie. — Gdybym był wiedział... Gdybym był przypuszczał... A ja pisałem do Krakowa i nie otrzymywałem odpowiedzi... Sądziłem, że Józia jest u pani i... że...

Zajął się.

Walczakowa spojrzała mu bystro w oczy. Odgadła tajemną myśl jego i twarz młodej kobiety zapłonęła rumieńcem obrazy.

— I że ja, która byłabym chętnie, czego się nie zapieram, widziała Józję żoną pana Michnika, proteguję jego miłość do mężatki!.. O!.. Panie Żarnicki!..

Konrad opuścił wzrok ku ziemi. Takie było istotnie jego podejrzenie, które go przyprawiało o udętki zazdrości.

— Wiem, że stało się dużo złego — rzekł po chwili, jakoś bardzo miękko, swoim dziwnie sympatycznym głosem — ale panie chyba nie możecie, ani też nie zechcecie zagrażać mi drogi do żony.

Panna Antonina zamruczała coś gniewnie i niewyraźnie. Walczakowa odrzekła:

— Ani nam to w głowie. Musi pan wszakże pozwolić, że uprzedzę Józję. Niespodzianki mogą być dla chorej szkodliwe.

— Ale jej lepiej?!

— O, dużo lepiej, ale jest jeszcze bardzo słaba...

Walczakowa wyszła, pozostawiając Konrada sam na sam z panną Korzewską.

Przy Józii zastała posługaczkę. Kazała jej odejść i wahającym trochę tonem rzekła:

— Józiu, mam dla ciebie nowinę... Bardzo ważną...

Chora nie zmieniła położenia, nie odwróciła głowy i nie odpowiedziała.

— Józiu, słyszysz, mam dla ciebie nowinę! I to taką, która cię powinna ucieszyć...

— Powinna mnie ucieszyć? — w głosie Józii dało się słyszeć coś jakby odcięciem ironii.

Anielka już bez dalszych wstępów powiedziała:

— Twój mąż przyjechał... Jest tutaj... Chce zobaczyć...

Chora drgnęła lekko.

— Tak?... A skądże się wziął? — zapytała w ten sposób, jakby szło o najobojętniejszą rzecz w świecie.

— Chcesz się z nim widzieć?

— Wszystko mi jedno.

Anielka była mocno sfrapiona, ale nie chcąc dać dłuższej czekać Konradowi, poszła do niego.